

POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XX

Warszawa, dnia 4 Sierpnia 1928 roku

Nr. 31

ZOFJA NAŁKOWSKA

POWIEŚĆ

NIEDOBRA MIŁOŚĆ

30)

Generał mówił wesoło i niejako syntetycznie:

— Jeżeli odnosicie sukcesy na arenie międzynarodowej, jeżeli jesteście rzecznikami pokoju wy tam, na szerokim świecie, to jednak wiedźcie, że możecie to robić tylko dzięki nam, którzy znów tutaj pilnujemy tej sprawy. Bo my tutaj waszym idejom pokojowym dajemy najlepszą rękojmię, dajemy im militarną gwarancję. Pacyfizm, głoszony przez słabych, jest demagogją. Tylko silna armja stanowi odpowiednią bazę do operacji pokojowych.

Walewicz bynajmniej nie zaprzeczał tym słowom. Mając jednak na względzie osoby w poczekalni, powstał wkrótce z fotela, by się pożegnać.

Uścisnęli się mocno za ręce. Już przy drzwiach Ninota zniżył nieco głos i powiedział serdecznie:

— Wiem, co was tu sprowadza. I prawdziwie mi jest przykro — mnie i żonie —, że się to tak skończyło. Wszyscy tutaj kochaliśmy panią Agnieszkę i bardzo odczuwamy jej brak.

Walewicz odpowiedział bez przymusu:

— Lepiej, że nareszcie sytuacja jest jasna. Teraz będę ją miał znowu przy sobie, moją jedynaczkę. I zaręczam, że za drugim razem okażę się już ojcem mniej nowoczesnym...

Tegoż dnia popołudniu Walewicz był u drugiego swego dawnego przyjaciela, Słuczańskiego. Odnalazł go w małym jego domku na przedmieściu, jak zwykle trapionego jakimś niedomaganiem. Oprócz służącej w kuchni i nieprzyjemnego psa w sieni, nikogo pozatem nie było w domu. Dopiero gdy przyjechał Walewicz, zapalono jakieś światło w jadalni i tam też zasiedli obaj głęboko na otomanie.

Słuczański zawsze wyglądał chorowicie, ale tym razem — mimo słabego oświetlenia — Walewicz zauważył w nim wyraźną zmianę na gorsze. Był nawet bardziej stary, niż chory, tak, był już zupełnym starcem. I to wydawało się dziwne Walewiczowi, ponieważ znał go od tak dawna. Właśnie dlatego.

Po pewnej chwili wszedł do pokoju pies, który sam otworzył sobie drzwi od sieni, i usiadł na podłodze, obróciwszy na obu panów swoją twarz dużą, poważną i włochatą. Nie było wiadomo, czego chciał — i to też wydało się Walewiczowi nieprzyjemne. Słuczański objaśnił, że psu dawniej nie wolno było wchodzić do pokoju, a teraz już może. Więc korzysta z tego i wciąż dotrzymuje mu towarzystwa.

Tutaj rozmowa zeszła odrazu na tematy rodzinne. Nie można powiedzieć, by dostarczyły do niej mało materiału.

Więc naprzód ślub Justyna, który odbył się przed tygodniem w stolicy. Walewicz pochwalał to małżeństwo, młoda pani Słuczańska bardzo mu się podobała. To, że postanowiła sobie tam zapisać się na matematykę, to nic wcale nie szkodzi, to nawet dobrze. Nie minie pół roku, jak przedzierzgnie się w doświadczoną elegantkę, będzie ozdobą legacji. Da sobie ze wszystkim radę, w tym młodym wieku to się robi piorunem.

— Justyna już stanowczo biore z sobą, to jest pewne, już tu te sprawy urządziłem. Z tego chłopca możesz być prawdziwie dumny i spokojny o jego przyszłość.

Słuczański pierwszy wspomniał o Julku. Jak ci bracia są odmienni, coraz mniej ich łączy. Julek — chociaż obecny w stolicy — nie był nawet podobno na ślubie Justyna.

— Bo co do mnie, — zakończył z westchnieniem Słuczański — dla mnie wyjazd stąd tak ni z tego ni z owego wogóle to była niemożliwość.

Walewicz go uspokoił, że ślub odbył się tylko w obecności dwóch świadków, nikt o niczem nie wiedział, nikogo nie prosili.

— Ja też dowiedziałem się o wszystkim dopiero, gdy mi zatelefonowali, czy mogą do mnie przyjść. — Justyn koniecznie chciał się nią pochwalić — — To było akurat w dniu mego wyjazdu tutaj — —

Słuczański pomyślał chwilę i powiedział jakby do siebie:

— Rzecz dziwna, że Renata nie poczekała chociaż do ich ślubu. Dziwna dlatego, że zawsze dużą przywiązywała wagę do takich rzeczy, do wszystkich uroczystości. I ostatecznie przecież to ona sama prawie skojarzyła ich małżeństwo.

Walewicz doprawdy nie oczekiwał, że się ta sprawa wyłoni w rozmowie tak poprostu.

— Dziwnie jakoś to wszystko wypadło, — powiedział, — istotnie wbrew wszelkiemu przewidywaniu. To pewna, że ta dobra kobieta skazana jest na przeżycie tych samych doświadczeń i rozczarowań, których ofiarą stała się Agnieszka. Miejmy nadzieję, że jeszcze szybciej otworzą jej się oczy.

Właściwie nie było wiadomo, co miałyby nastąpić po takim „otworzeniu się oczów”, kto miałby z tego odnieść korzyść. I Słuczański tego nie podjął. Wrócił do Julka.

— Ci chłopcy są zupełnie odmienni. Justyna sam z podziwieniem oglądam. On jest tem, czego we mnie zawsze brakło.

Podniósł swoje martwe, szare oczy na Walewicza i nieśmiało się uśmiechnął.

— Ale Julek mi jest bliższy, — wyznał. — Julka ja mimo wszystko lepiej rozumiem. To jest podobniejsze do mojej młodości — do tamtych czasów —

Walewicz dostrzegł tu raczej różnice.

— Żaden czas dziejów nie jest zły. Ja nie sądzę, abyśmy żyli w okresie jakiegoś upadku, jakiegoś niskiego ciśnienia, nie przeceniam tych elementów powojennego rozczarowania. Życie jest głębokie i nieprzeliczone o każdym czasie. Każdy nasz czyn swem przedłużeniem sięga we wszystkie plany życia i na żadnej jego głębinie nie jest obojętny. Każda instancja życia wydaje o nim swój inny sąd, każda inaczej go przełamuje, nadaje mu inną kwalifikację. Ten sąd nie może być jeden — i nie powinien.

— Gdyby jednak było prawdą, że żyjemy w przededniu nowych europejskich przewrotów, gdyby to miało być nieodzowne, — zaczął swym cichym głosem Słuczański i zawahał się. — Nie, ja nie boję się, że oni zwyciężą, ja bardziej boję się tego, żeby oni nie mieli słuszności...

Walewicz przerwał:

— To nie ma znaczenia, ich słuszność. Bo czas dzisiejszy jest tym, za który nie oni ponoszą odpowiedzialność.

— Właśnie, tylko my, — powiedział Słuczański. I to zabrzmiało jakoś niewiarogodnie.

— O takim czasie, jak dzisiejszy, — ciągnął Walewicz, — wszystko, co jest protestem, co jest pogroźką i zapowiedzią, przeżywa swój okres najlepszy, heroiczny, swoje jakieś dzieje bajeczne. Oni — ci młodzi — jeszcze raz stare, zakrwawione zbrodnie ziemi włoką przed swój sąd w tem przeświadczeniu, że to dopiero przez nich po raz pierwszy zmienia się świat, że to dopiero od nich zacznie się jutro —

Walewicz mówił bez ironji — raczej rozważając, raczej rozpamiętywując. Pies poruszył się i podszedł bliżej do otomany. Tu usiadł, kładąc dużą łapę na brzegu siedzenia. Patrząc pytająco ku Słuczańskiemu i tym razem było wiadomo, czego chce — że chce mianowicie wejść na kanapę. Ale Słuczański powiedział mu, że nie można. I pies odrazu na to przystał, odszedł w cień pod stół i tam z wielkim łoskotem kości ułożył się na gołej podłodze.

— Ma się zawsze słuszność, jeżeli odpowiedzialność ponosi ktoś inny, — powtórzył Walewicz. — Ale z chwilą, gdy kończy się okres heroiczny — po zwycięskiej wojnie czy po zwycięskiej rewolucji — nastaje czas odpowiedzialności. Nie za to, co się stało — tem jeszcze można kogoś innego obarczyć, na kogoś innego to spędzić. Ale właśnie za całą bieżącą rzeczywistość, tak, za to, co w niej — poprzez wszystkie przemiany — jest tożsame. Szpitale i więzienia, niesprawiedliwość i głód, przywilej i krzywda — to przecież trwa... I nastaje nieznośny, pokorny, ciężki trud, aby tę rzeczywistość — już w nowych kategoriach — jakoś usprawiedliwić i wytłomaczyć, jakoś po swojemu interpretować, aby się z nią za wszelką cenę *solidaryzować*... Może wszyscy to właśnie poniekąd robimy — i stąd zadanie nasze niezawsze wydaje nam się dość wdzięczne.

— To, co jest tożsame, — cicho powtórzył Słuczański, — więc: krzywda, cierpienie, strach — no i ostatecznie śmierć. —

Walewicz wstał, pamiętając, że czas już wracać do domu, do Agnieszki. Uczuł się przygnieciony

mrokiem tego pokoju, towarzystwem chorego i starego człowieka, który był jego rówieśnikiem, znużony niepotrzebną rozmową. Nawet milcząca obecność psa była czemś nieznośnym.

— Gdybyś przyjechał kiedy tam do Justyna — wypocząć, wydobrzeć, odetchnąć powietrzem szerszego świata, byłbym rad bardzo cię zobaczyć, — powiedział, odchodząc.

Ale było oczywiste, że Słuczański nie przyjedzie i że nie spotkają się już nigdy więcej.

22.

Ostatnią wizytę, już po wyjeździe Agnieszki, złożył Walewicz pani Osienieckiej, która, jak już powiedziałam, od niedawna mieszkała w mieście.

Miała tu ze sobą dwoje starszych służących, a koło siebie nieco pięknych, dawnych swoich mebli z Porów. Ale stary mahoń, odnowiony prymitywnie przez miejscowego stolarza, świecił się grubą politurą, niby posmarowany masłem.

Życiowa edukacja pani Osienieckiej była teraz, można powiedzieć, kompletna. Hrabina nabrała rzadkiego doświadczenia życiowego. Była powściągliwa, nie rozszerzała niespokojnie wąskich oczów, nie zadawała nietaktownych pytań. Ani o zamiary ministrów, ani o reformę rolną i parcelację.

Tak, nie zapytała nawet pierwsza o Kornela, chociaż z myśli o jego karierze europejskiej nie zrezygnowała wcale i chociaż w ciągu ostatnich dwu lat wysłała była w tej sprawie bez wiedzy syna trzy listy do Walewicza. A z tych listów tylko na pierwszy otrzymała odpowiedź. Na dwa następne już nie.

I Walewicz nawet się z tego nie tłumaczył — tyle się ich, mój Boże, odbiera tych listów o coś proszących.

Ale zachował się tak, jakby właśnie ten jeden tylko, pierwszy list odebrał. I tak może było delikatniej.

A pani Osieniecka nie miała o to urazy, nie była już taka wymagająca. Raczej zabiegająca i miła, raczej nawet szczęśliwa, że o niej nie zapomniał, że ją odwiedził.

Obejrzał wnętrze apartamentu i powiedział, że teraz jest w tym małym kącie Polski prawdziwa Europa. Wyjrzał też przez okno na stary plac miejski — i jakgdyby nagle zmienił zdanie, uderzony czem innym. Zapadał błękitny zmierzch. Z okna pałacu widać było po drugiej stronie rynku rząd małych, starych, brudnych kamienic, od piwnic aż podach wypełnionych żydami. Było jasno we wszystkich oknach, świeciło się tam wszędzie owem charakterystycznym, ciepłym światłem świec szabasowych w mleczno granatowym, odświeżonym wieczorze. To było tak inne, niż wszystko, co zazwyczaj oglądał w Europie, że musiało budzić zastanowienie.

— I ten widok z okien pani jest zadziwiający, — powiedział minister. Pomyśleć, że ci żydzi robią tu te swoje dziwne sprawy od wieków, że — wpryśnięci etnicznie w obcą, wrogą sobie rasę — są jednak wciąż ci sami, nie ustępują nic z wiary swej i tradycji. I w taki oto jakiś wieczór potrafią nadać swój charakter całej dzielnicy miasta w cudzym kraju, narzucić swój egzotyczny koloryt, z niczem tutaj nie związany. Czyż to nie jest uderzające, pani hrabino, niezastąpione poprostu jako argument?

(Dok. nast.)

UPADEK EDWARDA BARNARDA

Bateman Hunter spał źle. Na okręcie, który wioził go od dwóch tygodni z Tahiti do San Francisco, myślał wyłącznie o historii, którą miał opowiedzieć, a od trzech dni w pociągu powtarzał sobie zdania, w jakie zamierzał ująć to opowiadanie. Lecz już za kilka godzin przybędzie do Chicago — i jeły go ogarniać wątpliwości.

Sumienie Batemana Huntera, zazwyczaj tak czułe, nie było w najzupełniejszym porządku. Nie był pewien, czy uczynił wszystko, co było w jego mocy, a przecież jego poczucie honoru wymagało, by czynił jeszcze więcej, niż leży w mocy człowieka. Gnębiła go świadomość, że w dziedzinie leżącej blisko jego zainteresowań pozwolił, ażeby te zainteresowania przeważały nad jego rycerskością. Idea poświęcenia przemawiała tak silnie do jego wyobraźni, że niezdolność poświęcenia swojej własnej osoby sprawiała mu pewne rozczarowanie. Był jak ten filantrop, który ze względów altruistycznych budował wzorowe domy i przekonał się w końcu, że stworzył dochodowe przedsiębiorstwo. Nie może zapobiec przyjemności, jaką odczuwa, iż zyskał dziesięć procent na pieniądzach, które wyrzucił samowolnie, lecz gnębi go niewyraźne uczucie, że zmalował nieco urok jego cnoty.

Bateman Hunter wiedział, że posiada czyste serce, ale nie wiedział, jak podziela na niego badawcze spojrzenie zimnych szarych oczu Izabelli Longstaffe, gdy opowie jej tę historję.

Oczy Izabelli były mądre i dalekowzroczone. Mierzyła innych swoją własną miarą niezachwianej prostolinijności i nie istniała większa nagana, niż chłodne milczenie, jakim wyrażała swoje niezadowolenie z postępowania, które nie odpowiadało ściśle jej kodeksowi. Nie można było apelować do jej sądu, gdyż urobiwszy sobie pogląd, nigdy nie zmieniała zdania. Lecz Bateman nie zniósłby, gdyby była inną. Kochał nie tylko jej urodziwą postać, tak smukłą i prostą z dumnie uniesioną głową, ale kochał w niej jeszcze bardziej piękno jej duszy. Zdawało mu się, że jej szczerść, jej surowe pojęcie honoru, jej nieustraszony światopogląd ześrodkowuje w niej wszystko to, co jest najpiękniejsze i godne podziwu w jego rodaczkach. Ale widział w niej coś więcej jeszcze, niż idealny typ amerykańskiego dziewczęcia, czuł, że jej doskonałość była do pewnego stopnia właściwa jej otoczeniu i był przekonany, że żadne inne miasto na świecie nie mogłoby jej stworzyć, jak tylko Chicago. Gdy uprzytomnił sobie, jak ostry cios musi zadać jej dumie, chwycił go dreszcz i gniew rozgorzał w jego sercu, gdy pomyślał o Edwardzie Barnard.

Wreszcie pociąg wjechał do Chicago i Bateman Hunter uradował się, spostrzegłszy długie ulice szarych domów. Z trudem musiał opanować swoją niecierpliwość na myśl o State i Wabash z zaludnionymi chodnikami, z szalonym ruchem handlowym i hałasem. Był u siebie w domu. I rad był, że się urodził w najważniejszym mieście Stanów Zjednoczonych. San Francisco było prowincjonalne, Nowy York — przeżyty. Przyszłość Ameryki leżała w rozwoju jej ekonomicznych możliwości i Chicago dzięki swojemu położeniu i dzięki energii swoich obywateli było przeznaczone, by stać się istotną stolicą kraju.

— Mam nadzieję, że żyć będę dosyć długo, by ujrzeć, jak Chicago stanie się największym miastem na świecie, — rzekł Bateman do siebie, schodząc na peron.

Oczekiwał go ojciec. Uścisnęli sobie serdecznie dłonie i opuścili dworzec. Obydwaj byli wysocy, smukli, dobrze zbudowani, posiadali jednakowe delikatne ascetyczne rysy i wąskie wargi.

Wsiedli do samochodu pana Huntera, który stał przed dworcem. Pan Hunter podchwycił dumne i szczęśliwe spojrzenie syna, jakim obrzucał ulicę.

— Rad jesteś, że wróciłeś, mój synu? — zapytał.

— Jakże bym nie miał być rad, — odpowiedział Bateman.

Jego oczy pożerały niespokojny widok.

— Wydaje mi się, że jest tu trochę więcej zgiełku, niż na twoich Wyspach Mórz Południowych — roześmiał się pan Hunter. — Podobało ci się tam?

— Ojczy, daj mi Chicago, — rzekł Bateman.

— Przyjechał z tobą Edward Barnard, przywiozłeś go?

— Nie.

— Jaki był?

Bateman milczał przez chwilę i jego piękna ogorzała twarz pociemniała.

— Ojczy, wolałbym nie mówić o nim, — rzekł w końcu.

— Dobrze, mój synu. Mam wrażenie, że twoja matka będzie dzisiaj szczęśliwą kobietą.

Wydostali się z zaludnionych ulic na Loop i jechali wzdłuż jeziora. Wreszcie zatrzymali się przed imponującym domem — dokładną kopją jakiegoś zamku nad Loire'ą — który sam pan Hunter wybudował przed kilku laty.

Bateman, znalazłszy się sam w pokoju, kazał natychmiast połączyć się z jakimś numerem telefonicznym. Serce mu zabiło, gdy usłyszał głos, który mu odpowiedział.

— Dzień dobry Izabelo, — rzekł wesoło.

— Dzień dobry Batemanie.

— Jak mogłaś poznać mój głos?

— Nie tak dawno słyszałam go po raz ostatni. Pozatem oczekiwałam cię.

— Kiedy będę mógł zobaczyć się z tobą?

— Jeżeli nie masz nic lepszego na widoku, to może przyjdiesz do nas na obiad dzisiaj wieczorem.

— Wiesz dobrze, że nie mógłbym mieć nic lepszego na widoku.

— Sądzę, że przywiozłeś mnóstwo nowin.

Zdawało mu się, że w głosie jej podchwycił nutę niepokoju.

— Tak, — odparł.

— Dobrze, powiesz mi dzisiaj wieczorem. Dowiedzenia.

Oddzwoniła. Było dla niej charakterystyczne, iż była w stanie czekać tyle zbędnych godzin, ażeby dowiedzieć się rzeczy, które ją tak blisko obchodziły. Jej powściągliwość była dla Batemana wyrazem godnego podziwu hartu duszy.

Podczas obiadu, na którym prócz niego i Izabelli byli tylko jej matka i ojciec, śledził, jak prowadzi rozmowę po wązkich ścieżkach uprzejmych banalności i codzienności i pomyślał, że właśnie w ten sposób

szczebiotała markiza w cieniu gilotyny na tematy, które nie ujrzą jutra.

Delikatne rysy Izabeli, arystokratyczne wycięcie górnej wargi, bogactwo złotych włosów narzuciło mu znowu wrażenie urody markizy, a przecież było oczywiste i powszechnie znane, że w żyłach jej płynęła najlepsza krew w Chicago.

Jadalnia była odpowiednią ramą dla jej subtelnej urody, gdyż Izabela uczyniła, iż dom stał się odbitką jednego z pałaców weneckich na Canale Grande. Wykonał go angielski architekt specjalista stylu Ludwik IV. Wszędzie dekoracje, zespolone z imieniem kochliwego monarchy, podnosiły słodycz Izabeli, a jednocześnie nabierały od niej głębszego znaczenia. Umysł Izabeli był bogato wyposażony i chociaż rozmowa jej robiła wrażenie powierzchownej, nigdy nie była pusta. Mówiła teraz o poranku muzycznym, na którym była wraz z matką, o odczytach angielskiego poety w audytorjum, o sytuacji politycznej, o starym mistrzu, którego obraz ojciec jej nabył w Nowym Jorku za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Batemana pokrępiły jej słowa. Czuł, że się znajduje znowu w świecie cywilizowanym, w środowisku kulturalnym i wytwornym i pewne głosy niepokojące a narzucające się wbrew jego woli umilkły wreszcie w jego sercu.

— Doprawdy, dobrze jest być z powrotem w Chicago, — rzekł.

Wreszcie obiad się skończył i kiedy opuszczali jadalnię, Izabella zwróciła się do matki:

— Zabieram Batemana do mojego gniazdka. Jest sporo rzeczy, o których musimy porozmawiać z sobą.

— Dobrze, kochanie — odparła pani Longstaffe — zastaniecie potem twojego ojca i mnie w pokoju Madame du Barry.

Izabella zaprowadziła młodego człowieka na pierwsze piętro do pokoju, z którym go łączyło tyle czarujących wspomnień. Chociaż znał ten pokój tak dobrze, nie mógł powstrzymać okrzyku zachwytu, jaki wywoływał w nim zawsze. Rozejrzała się z uśmiechem.

— Zdaje mi się, że udał się ten pokój — rzekła. A co najważniejsze, że wszystko tu — jak być powinno. Niema nawet popielniczki, która by nie pochodziła z epoki.

— I ja mam wrażenie, że to czyni ten pokój tak czarującym. Wszystko w nim jest tak doskonałe, jak ty.

Usiedli przed kominkiem i Izabela spojrzała na niego spokojnymi poważnymi oczami.

— Co masz mi do powiedzenia? — zapytała.

— Nie wiem doprawdy, jak zacząć.

— Czy Edward Barnard wraca?

— Nie.

Zanim Bateman przemówił znowu, nastąpiła długa chwila milczenia, którą oboje wypełnili różnymi myślami. Miał opowiedzieć jej trudną historję, gdyż były w niej rzeczy tak bardzo obrażające jej wrażliwy słuch, iż nie mógł się zdobyć na rozpoczęcie opowiadania, a jednak w imię sprawiedliwości względem niej i względem siebie musiał zwierzyć jej całą prawdę.

Wszystko to zaczęło się dawno temu, gdy on i Edward Barnard byli jeszcze w wyższej szkole. Spotkali Izabelę Longstaffe na zebraniu, wydanem, by ją wprowadzić w świat. Znali ją jeszcze z tych czasów, gdy była dzieckiem a oni wyrostkami o długich nogach, ale ostatnie dwa lata spędziła Izabela

w Europie dla dokończenia edukacji i z niespodziewaną radością odnowili znajomość z uroczą dziewczyną, która wróciła. Obaj zakochali się w niej do szaleństwa, lecz Bateman zauważył bardzo szybko, że miała oczy tylko dla Edwarda, i Bateman, szczerze oddany swojemu przyjacielowi, zrezygnował i wziął na siebie rolę powiernika. Przechodził przez ciężkie chwile, lecz nie mógł zaprzeczyć, że Edward zasłużył na swój dobry los, i w obawie ażeby nic nie przyniosło uszczerbku przyjaźni, którą cenił tak wysoko, starał się nie odsłonić nigdy swych uczuć.

Po upływie sześciu miesięcy młoda para była już zaręczona. Ale byli bardzo młodzi i ojciec Izabeli postanowił, że pobiorą się nie wcześniej, aż młody człowiek otrzyma dyplom. Mieli czekać przez rok.

Bateman przypominał sobie zimę, w końcu której Izabela miała poślubić Edwarda. Była to zima wieczorów tanecznych i teatralnych, beztrudnych zabaw, w których Bateman brał zawsze udział, jako ten nieodstępny trzeci. Nie kochał jej mniej dlatego, że miała zostać niebawem żoną przyjaciela. Jej uśmiech, wesołe słówko rzucone mu, pewność jej sympatii nigdy nie przestały go rozkoszować, i wieszował sobie z pewnym odcieniem zadowolenia, że nie zazdrości im szczęścia. Wtedy nastąpił wypadek. Runął wielki bank, wynikła stąd panika na giełdzie i ojciec Edwarda został doszczętnie zrujnowany. Przyszedł pewnego wieczoru do domu, powiedział swojej żonie, że został bez grosza i po obiedzie, wszedłszy do swojego gabinetu, zastrzelił się.

Po upływie tygodnia Edward Barnard zjawił się u Izabeli z bladą i umęczoną twarzą, prosząc ją, aby go zwolniła z danego słowa. Odpowiedziała mu zarzuceniem ramion na jego szyję i wybuchem płaczu.

— Nie czyni mi cięższem naszego rozstania, moja jedyna, — rzekł.

— Sądzisz, że puszcze cię teraz! Kocham cię.

— Ale jakże ja mogę teraz prosić cię, abys została moją żoną? Wszystko jest beznadziejne. Twój ojciec nigdy na to nie pozwoli. Nie mam grosza.

— Co to mnie obchodzi. Kocham cię.

Opowiedział jej o swoich planach na przyszłość. Musiał się zaraz wziąć do zarobkowej pracy. Jerzy Braunschmidt, stary przyjaciel jego rodziny, zaofiarował mu posadę u siebie. Posiadał wielkie przedsiębiorstwo handlowe na Morzu Południowem i miał liczne oddziały na wielu wyspach Oceanu Spokojnego. Proponował Edwardowi, ażeby się udał na Tahiti na rok lub dwa, gdzie pod kierunkiem jednego z najlepszych zarządzających mógłby się zapoznać z różnymi gałęziami tego trudnego handlu, a po tej praktyce przyrzekł młodemu człowiekowi doskonałe stanowisko w Chicago. Była to wyjątkowa okazja i gdy Edward kończył swoje wywody, Izabela uśmiechała się znowu.

— Ty, chłopcze szalony, dlaczego starałeś się unieszczęśliwić mnie!

Po tych słowach rumieńce wystąpiły na twarz Edwarda, oczy zapalały.

— Izabelo, czy mam przez to rozumieć, że będziesz czekać na mnie?

— Sądzisz, że nie jesteś wart tego?

— O, nie śmieję się teraz ze mnie. Błagam cię, mów poważnie. To może potrwać dwa lata.

— Nie lękaj się. Kocham cię, Edwardzie. Gdy wrócisz, zostanę twoją żoną.

(D. c. n.).